MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 55. WARSZAWA, 30 GRUDNIA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

KONIEC EPOKI

CHWILA dzisiejsza stanowi końcowy etap naszej przemiany społecznej, zaczętej jeszcze w czasach stanisławowskich—to też zamknięcie tego przydługiego może cyklu artykułów, będzie zarazem poniekąd i charakterystyką.[1]) Możnaby to zrobić oczywiście oddzielnie, ale w takim razie nie dałoby się uniknąć pewnych powtórzeń, a sama charakterystyka chwil współcześnie przeżywanych, i to przeżywanych uczuciowo i głęboko, nie wypadłoby chyba bezstronnie. Mam więc wrażenie, że lepiej ten cykl, po dwu dygresjach w stronę Poznańskiego i Galicji, odrazu zakończyć, nie mówiąc już nic, a właściwie prawie nic, o dzisiejszej Polsce.

Społeczna historja tych stukilkudziesięciu lat, jakiemi zajmowały się te artykuły, mimo całej gamy swoich przemian stanowi wyraźną i organiczną całość. Jest to okres historyczny, któryby można nazwać epoką przechodzenia Polski z jednego stanu statycznego do drugiego, opartego na nowej już równowadze. Ten nawskroś dynamiczny okres naszej historji to jedno długie przejście od sarmackiej Polski czasów saskich do przyszłej Polski narodowej. Obie te Polski—jedna miała, a druga mieć dopiero będzie—wyraźne rysy i oblicza, i to oblicza, mimo wszystko, do siebie podobne. Ta Polska środkowa, którą dziś żegnamy, nie miała natomiast żadnego, a jej wyraz twarzy był zmienny i coraz to inny, w myśl zasad, jakiemi się kierowała.

A kierowała się ona dążeniem do wolności, pojętej jako wyzwolenie z wszelkich więzów, jako zerwanie z wszelką tradycją—ciągłe poszukiwanie czegoś nowego i lepszego. Była więc ta Polska duchowo bardzo dziewiętnastowieczna i bardzo liberalna,—i, co za tem idzie, jest nam dzisiaj bardzo obca, tak obca jaką była Polska Stanisławowska dla saskich sarmatów, do których reakcji nasz narodowy postęp, choć pod pewnemi tylko oczywiście względami, jest jednak stanowczo podobny.

Jesteśmy bowiem sobie bliscy zrozumieniem, że naród nie może żyć chwilą, ale musi żyć wiekiem, żyć tradycją — że naród nie może żyć abstrakcyjną, międzynarodową ideą, ale że musi żyć po swojemu, swoją własną treścią, — że to, co jest jego istotne, jest tem samem bardzo cenne, — że musi pielęgnować swoją wiarę, swój styl, swój obyczaj—że cudzobiesie i obce nowinkarstwo to przeważnie nic dobrego, bo twórczą jest jedynie własna myśl i własny duch... Mamy więc wiele cech wspólnych, zaryzykowałbym, że mamy jednolitą ideową podstawę światopoglądu — ale sam światopogląd mamy oczywiście odmienny, bo dzieli nas te stokilkadziesiąt lat wielkich i niecofnionych przemian społecznych epoki Polski liberalno-romantycznej.

Jaka była największa przemiana tych czasów?—Rozkruszenie szlachty, jej stopniowy upadek. I stwierdzając to, stwierdzamy też równocześnie, dlaczego tego naogół małosympatycznego, zwłaszcza pod jego koniec, okresu historycznego, jednak się żałuje i nie żegna samem tylko radosnem czekaniem na przyszłość, ale też pewnym tęsknym żalem za zanikającą już przyszłością. Jest to chyba jasne, że patrząc na ostateczny „upadek Polski szlacheckiej", o którym mówiono już przeszło sto lat temu, a który naprawdę dopiero teraz ma miejsce, żałuje się tej szlachty, która całą kulturę polską wyhodowała, a ten żal pozornie tylko jest żalem za mijającym historycznym okresem, bo właściwie żałuje się przecież tylko tej warstwy, nad której upadkiem wiek XIX tak pracowicie zabiegał.

Żałuje się jej nietylko dlatego, że dobrze spełniła swoją misję dziejową, i że sprzęgła się na wieki z narodową tradycją i charakterem, ale także dlatego, że razem z nią schodzi do grobu cała epoka naszej cywilizacji, bardzo bogata, bar-

---

[1]) Artykuł niniejszy stanowi zakończenie cyklu zatytułowanego: „Z dziejów naszych przemian społecznych" w którego skład wchodzą następujące artykuły: „Początek naszej nowoczesności" Nr 29, „Czasy stanisławowskie" Nr 35, „Rozbiory" Nr 36, „Księstwo-Królestwo" Nr 37, „Era Paskiewiczowska" Nr 39, „Pozytywizm" Nr 41, „Poznańskie" Nr 48 i „Galicja" Nr 54.

dzo świetna i bardzo długa, a żal ten częstokroć jest tak głęboki i wielki, że przejmuje obawą nawet o sam los naszej kultury, którą upadek jej odwiecznych sterników tak zuboża i której ciągłość może się przerwać, gdy kierownictwo nią przejdzie w inne, bardziej może krzepkie, ale za to też i bardziej świeże, barbarzyńskie może niemal dłonie. Takie obawy są jednak chyba stanowczo przesadne, bo naród w pewnym sensie jest nieśmiertelny, a już napewno nieśmiertelna jest sama jego kultura. To też skarby kultury Polski szlacheckiej nigdy nie przepadną—a można nawet przypuszczać, że i wstrząs, na jaki będzie narażona nasza kultura, przemieniająca się z czysto-szlacheckiej na jakąś inną, nie będzie zbyt wielki i dla niej groźny. Warunkiem tu jest tylko, żeby to przejście dokonało się drogą ewolucji a nie przewrotu, żeby więc likwidacja „szlachetczyzny" była wolna i stopniowa, bo tu przecież nie likwiduje się nic złego, ale wręcz przeciwnie, z nią kończy się coś bardzo wartościowego i cennego. Naród opiera się na sile swoich tradycyj, a w Polsce tradycja narodowa, to przedewszystkiem tradycja szlachecka — chodzi więc bardzo o to, by tej nici nie przerwać, bo takie przerwanie ciągłości kulturalnej jest zawsze katastrofą dla narodu, który trwa przedewszystkiem swą kulturą, swym etosem, a nie samym tylko, przeważnie biernym ludem-etnosem.

Temu wymaganiu powolnego konania „szlachetczyzny" kończący się dzisiaj okres dziejowy w zupełności odpowiedział. Likwidował on wpływy szlachty bardzo powoli, stopniowo, chociaż nie brakło różnych czynników, chcących tę ewolucję przyśpieszyć. Wytwór tych czasów, szlachecko-miejska *gentry*, najgłębiej ze swego ducha ziemiańsko-szlachecka, przejmując, wymykające się z rąk czysto-wiejskiej, sarmackiej szlachty, przodownictwo kulturalne, zachowała naszej kulturze jej dawny charakter, nieznacznie go tylko modyfikując. Dziś z kolei sama *gentry* jest w tem swojem przodownictwie zachwiana i rozglądamy się (może jeszcze nieco przedwcześnie) ze jej spadkobiercami. W każdym razie dla dobra naszej kultury chodzi o to, żeby nowi jej sternicy tak przypominali dawnych, jak *gentry* przypominała szlachtę ziemiańską. Chodzi więc o to, żeby *gentry* znalazła w sobie siły do asymilowania „nowych ludzi"; żeby oni, przejmując jej cywilizacyjny ideał, równocześnie stopniowo go wzbogacali o swoje nowe pierwiastki.

Tak właśnie było dawniej z samą *gentry*. Wiek XIX-to nietylko epoka upadku szlachty, ale także poniekąd i jej coraz większego rozrostu, skoro sama ona, malejąc fizycznie i znaczeniowo, rozszerza równocześnie zakres swego duchowego wpływu na coraz to nowe warstwy, przekształcając przez to cały pełnoprawny naród polski na swój obraz i podobieństwo, robiąc z niego naród szlachecki. Taką była myśl konstytucji majowej i chociaż konstytucja nie weszła w życie, to ta jej myśl została całowicie wykonana.

Dziś czasy się znów powtarzają; jak za Stanisława Augusta pokonano zaskorupienie szlachecko-magnackie z jego *liberum veto* i pojęcie narodu wzbogacono o nową treść, o miasto i wolne zawody, słowem to, co dzięki szlachcie ukształtowało się jako jej odrośl — *gentry*, — tak dzisiaj przełamujemy indywidualistyczno - kapitalistyczne, masońskie zaskorupienie, z jego możnością zatruwania ducha narodowego jadem żydowskim, a przetworzone w ten sposób pojęcie narodu rozszerzamy także i na chłopa. Problem jest ten sam, by tak jak wtedy naród szlachecki, rozszerzając swą podstawę, pozostał jednak, jak dawniej, szlacheckim, by dzisiaj chłop, jak wtedy *gentry*, podjął odwieczną nić tradycji, zamiast ją zrywać. By on, wchodząc w etos narodowy, stał się jego cząstką, zespalając ten etos ściślej z etnosem, ale nie sprowadzając całego narodu do poziomu samego tylko etnosu — plemienia, tworzącego dopiero swoją własną kulturę, swój własny etos.

Takie rozwiązanie tej sprawy jest nietylko konieczne, ale i możliwe, jeżeli tylko *gentry* pracą swoją utrzyma moc asymilacyjną własnej, odziedziczonej po dawnej Polsce kultury, a napływ w *gentry* nowych sił będzie stopniowy, umożliwiający jej tem samem pożądany proces asymilacyjny. Warunek tylko jeszcze jeden — jaknajszybsze odżydzenie źródeł naszego duchowego życia, bo zgangrenowana jadem żydowskim *gentry* zaprzepaści i siebie i swoją misję cywilizacyjną i cały nasz dotychczasowy dorobek kulturalny, o którego utrzymanie i rozwinięcie tak przecież nam chodzi.

KAROL STEFAN FRYCZ

SZTADLAN

(Dokończenie)

ISTNIAŁO wiele powodów, jak utrzymują historycy żydowscy, dla których tak gminy poszczególne, jak i ziemstwa, a w szczególności Waad'y musiały interwenjować w interesie ogółu żydów, np. gdy chodziło o unicestwienie lub złagodzenie zbyt wysokiego wymiaru podatków albo groziło niebezpieczeństwo procesu o mord rytualny lub znieważenie św. Hostji. Taki proces, gdziekolwiekby miał miejsce, nie był wcale lokalnym procesem, lecz był stale połączony z niebezpieczeństwem dla ogółu żydów. Należało stale uważać, aby szlachta na sejmikach nie wybrała na posłów ludzi wrogo usposobionych do żydów, lub nie zaleciła w swoich instrukcjach na Sejm Walny czegoś dla nich niewygodnego. Należało baczyć, aby w czasie obrad sejmu nie zapadły uchwały antyżydowskie. Interwencje te były częste i naogół skuteczne, głównym argumentem było — złoto. Lewin pisze wyraźnie:

„Do licznych osobliwości, jakie składają się na życie sejmowe w dawnej Polsce, należy też fakt, że na wybór posłów, a poniekąd i pośrednio na obrady sejmu, wpływali niekiedy — żydzi"[7]).

Otóż takie interwencje musiały być załatwiane w sposób pośredni i dyskretny i dlatego instytucje żydowskie czyniły to zapomocą specjalnej osoby urzędowej — sztadlana (zwanego inaczej syndykiem, o specyficznie żydowskim charakterze, niespotykanym w ustroju żadnego innego społeczeństwa). Jego zadaniem było w bardziej delikatny, aniżeli publiczny, sposób interesów żydowskich bronić na dworze królewskim lub pod-

[7]) Lewin, *op. cit.*, str. 46.

czas obrad sejmu lub sejmików. W cytowanym artykule Lewin pisze:

„Poza kwestją, kto brał pieniądze żydowskie w czasach wyborów do sejmu w dawnej Polsce, należy do naszego tematu i odwrotna strona zagadnienia: kto te pieniądze dawał, a raczej: kto je do właściwych adresatów doprowadzał. Otóż to było zadaniem „sztadlanów”[8]).

„Niepodobna mówić o stosunkach polsko-żydowskich w dawnej Rzplitej, a pominąć „sztadlanów” ”[9]).

Sztadlani byli różnych kategoryj; jedni, niżsi przeznaczeni byli do interwenjowania u szlachty, na sejmikach i u władz prowincjonalnych, inni, wyżsi mieli za obowiązek zabiegać na sejmie i na dworze królewskim — ci zwali się zwykle syndykami generalnymi żydowskimi i oficjalnie występowali jako reprezentanci ludności żydowskiej przy królu. Władze żydowskie bardzo dbały o to, aby na każdy sejmik i Sejm Walny byli wyznaczeni sztadlani. Uchwała nr. 10 z r. 1623 zjazdu kahałów litewskich głosi:

„Odnośnie do wszystkich gmin naczelnych winni są przełożeni tychże stać na straży podczas zbliżania się sejmików przed sejmem, dowiadywać się i uważać, żeby broń Boże nie uchwaliły czego nowego, coby nam było bolesnym kolcem. Wydatki, jakie powstaną, zapłaci każda gmina z jej okręgiem... A jeżeli się okaże, że jakaś gmina nie stała na straży i nie ustanowiła swych sztadlanów (syndyków) na sejmikach, zostanie ona ukarana grzywną stu czerwonych złotych na cele dobroczynne”[10]).

Sztadlani otrzymywali dokładne instrukcje, co do pełnienia swych czynności i co do spraw, w których musieli interwenjować. Uchwała Waadu nr. 147 z r. 1628:

„zawiera wskazówki odnośnie do kroków, jakie „sztadlani” na sejmikach wdrożyć mieli”[11]).

„Na trzy, albo cztery tygodnie przed sejmikiem, powinni przełożeni krajowi w każdej wielkiej rezydencji rozsyłać pisemne wezwania do przebywających w pobliżu zebrania się sejmików mężów, by czuwali, ażeby broń Boże nie postanowiono czego nowego i by zaradzili, czemu się jeszcze da zaradzić. Posłom zaś do sejmu, którzy zostaną wybrani, należy złożyć podarunki i prosić ich, aby nam byli na sejmie przychylni”.

Lewin, komentując tę uchwałę, pisze, iż:

„najważniejsza pozycja w „funduszu wyborczym” żydów Polski przedrozbiorowej — podarunki... Ten argument przemawiał do przekonania, był więc stale w użyciu i wykazywał tendencję do ciągłego wzrostu na wadze i pojemności”.

Ponieważ wydatki, związane z działalnością sztadlanów, były znaczne, więc zjazdy żydowskie nieraz zajmowały się tą sprawą i wydawały odpowiednie rozporządzenia. Tak np. uchwała zjazdu gmin litewskich w r. 1627 nr. 111 głosi:

„Wyjaśnia się, że wydatki sejmikowe ponosić mają gminy razem z okręgami; znaczy to, że gminy mają dać stosunkowo do ich udziału w kwocie podatkowej, a okręgi też wedle ich udziału w kwocie podatkowej”.

Zaś uchwała nr. 162 z r. 1628 postanawia:

„Prezenty, które trzy gminy naczelne składają dygnitarzom (czyli senatorom), przyjeżdżającym, gdy ma się odbyć Sejm Walny, idą na rachunek całego kraju (t. j. ogółu kahałów polskich). Natomiast prezenty dla posłów na Sejm Walny i dygnitarzy wybranych posłami w odnośnym powiecie, mają być przez odnośne gminy pokryte”.

W roku 1667 uchwałą nr. 616 zjazd gmin żydowskich ustanawia regulamin nieprzewidzianych wydatków, t. zw. *„noladoth”*, a uchwała nr. 652 obostrza powyższy regulamin kasowy. Uchwała Waadu gmin litewskich, odbytego w Sielcu w r. 1670, nr. 691 określa wysokość wydatków sejmikowych (posiadały one specjalne określenie: *„hocaoth sejmiks”*), czyli wydatków, które żydzi ponosili w okresach, gdy szlachta na sejmikach wybierała posłów na Sejm Walny. Czytamy w niej, że z uwagi na to, iż szlachta jest zachłanna na pieniądze żydowskie i musi być kontrola wydawanych sum, zapadło postanowienie:

„wydatek do 150 złp. idzie na rachunek związku krajowego za sprawdzeniem pod klątwą. W osadach zaś może być wydatek do 30 kop. litewskich też za sprawdzeniem pod klątwą”.

Wydatki istotnie były często duże. Kahał poznański wydatkował w r. 1646 na sejm i sejmik w Środzie 1.500 zł. polskich[12]). W r. 1688 zastąpiono podatek podymny przez podwyższenie o 50.000 zł. p. pogłównego, płaconego przez żydów. Pinaks kahału poznańskiego zanotował w tej sprawie:

„Wszyscy sztadlani — zarówno z gminy naszej, jak i z okręgu, czynili heroiczne wysiłki, by tę rzecz unicestwić. I Pan Bóg im dopomógł, że starania ich zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem i pogłówne (*scil.* podwyższone) unicestwili. Ale ich (*scil* sejmiku) dobrodziejstwo nie jest kompletne: postanowili, aby ściągnąć podymne — 45 kwot podymnego — i nie pomogły żadne skarby, by unicestwić podymne”.

O koszty tej interwencji wynikł spór pomiędzy gminami, rozstrzygnięty dopiero w r. 1715. Z przebiegu tego sporu wynika, że ta interwencja sztadlanów kosztowała 8.000 zł. p.[13]).

Na tle wydatków sztadlańskich nieraz dochodziło do sporu pomiędzy najwyższemi instancjami żydowskiemi w Polsce: Waadem *arba aracot* a Waadem gmin litewskich. Spory te rozstrzygały sądy rabinackie. W r. 1633 zapadł wyrok, w którym oddalono pretensję Waadu *arba aracot*[14]). W sentencji wyroku czytamy:

„Niema na tej pretensji nic, bo także oni (czyli żydzi litewscy) dają posłom (na Sejm Walny) litewskim”.

W r. 1681 zapadł wyrok w sporze o wydatki między temi instytucjami. Spór rozstrzygnięto na rzecz zasady zupełnej odrębności interwencji w Koronie i na Litwie, nawet w razie zażegnywania najstraszniejszych katastrof, np. grożącego wydalenia żydów z Polski. Czytamy tam:

„Każda ze stron ma dać ze swej strony swym dygnitarzom (t. j. żydzi koronni koronnym, litewscy litewskim)”.

Autorzy żydowscy, jak np. cytowany przez Lewina[15]) E. N. Frenk w dziele *„Ha-ironim w'ha-jechudim b'Polin”*, piszą, że była ustalona prawie zwyczajowo wysokość prezentów:

„«Marszałkowi» — tyle a tyle, «wicemarszałkowi», «pisarzowi i dwom deputatom», «sługom marszałka», «obrońcom w komisji» — znów tyle a tyle”.

Wytworzył się na skutek tych ustawicznych i uświęconych przez tradycję interwencyj sztadlańskich w Polsce taki stan rzeczy, że według Frenk'a[16]) (*„Ha-ironim” etc.*, str. 44):

„rozpowszechniło się w Polsce mniemanie: kto o żydach dobrze mówi, jest już przekupiony; kto na nich wygaduje, — chce nim dopiero zostać”.

Żydzi pilnie przestrzegali, aby interwencjami w sprawach urzędowych zajmowali się tylko wyznaczeni do tego sztadlani. W r. 1662 Waad gmin

[8]) Lewin, *op. cit.*, str. 57.
[9]) Lewin, *op. cit.*, str. 57,
[10]) Lewin, *op. cit.*, str. 48.
[11]) Lewin, *op. cit.*, str. 51.
[12]) Lewin, *op. cit.*, str. 52.
[13]) Lewin, *op. cit.*, str. 52.
[14]) Lewin, *op. cit.*, str. 63.
[15]) Lewin, *op. cit.*, str. 52.
[16]) Cytuje się za Lewinem, *op. cit.*, str. 53.

litewskich uchwałą nr. 534 wydał zakaz, będący powtórzeniem zakazu, zawartego w uchwale nr. 39, z r. 1623, interwenjowania na Sejmie Walnym poza sztadlanami.

Sztadlani wszystkich kategoryj (i mniejsi i więksi) byli płatnymi urzędnikami odpowiednich instytucyj; pobierali djety dzienne i zwrot kosztów podróży. Sejm gmin litewskich w r. 1761 uchwałą nr. 1014 postanowił:

„należy sztadlanowi ustalić stałą pensję, by nie potrzebował krążyć".

Wspomiany wyżej sąd rabinacki z r. 1681, odbyty w Łęcznie, w swych uchwałach wspomina wśród wydatków:

„wydatki na płacę sztadlana czterech ziem w Warszawie oraz wydatki na sejmach warszawskich oraz prezenty dla Króla Jego Mości i jego dygnitarzy na Sejmie oraz za unicestwienie klęsk w Warszawie na Sejmach i nie na Sejmach"[17]).

Na sztadlanów byli wybierani żydzi najbardziej obrotni i sprytni. Zjazd gmin litewskich w Chomsku w r. 1691 uchwałą nr. 855 postanawia:

„Wśród delegatów na Sejm powinni się znajdować przynajmniej dwaj, którzyby potrafili stanąć w pałacu króla i dygnitarzy, a pozostali mają być mądrzy, roztropni i światli"[18]).

Od sztadlanów wymagała się możliwie dobra znajomość języka polskiego w słowie i piśmie[19]). Wybór głównego sztadlana, ukrywającego swe właściwe funkcje pod niewinnym tytułem „syndyka generalnego żydowskiego", przez Sejm czterech ziem był oficjalnie notyfikowany królowi i rządowi polskiemu. Tak np. w r. 1666 18 maja delegacja żydowska notyfikuje królowi wybór na to stanowisko Mojżesza Markowicza (zob.: „Metryka Koronna", tom 369, p. 239)[20]).

W ważniejszych wypadkach, np. na czas obrad sejmu, wyznaczano czasami nie jednego, a kilku sztadlanów. Tak zjazd gmin litewskich w Prużanie w r. 1628 wybiera aż trzech sztadlanów sejmowych: Szaję z Wilna, Bejzacha z Brześcia i Mordkę z Łomży, przyczem każdemu dodaje zastępcę. Wspomniany Mordka z Łomży wraz z Zelmanem — szamesem są w r. 1633 wyznaczeni znów sztadlanami na sejm elekcyjny, zwołany po śmierci Zygmunta III[21]).

Sądzimy, że przytoczone wyżej wiadomości dostatecznie wyjaśniają zadania i rolę „sztadlanów" i wszelkie dalsze komentarze są zbyteczne: Sztadlani, którzy oficjalnie występowali jako syndycy żydowscy, mieli za zadanie dbać o interesy swego narodu nietylko i nie tyle zapomocą swojej wymowy i argumentacji prawnej, lecz przedewszystkiem zapomocą wszelkiego rodzaju „prezentów" i „subtelnych" interwencyj.

Warto jeszcze na zakończenie tego szkicu poinformować czytelników o późniejszych losach Sejmu czterech ziem i urzędów sztadlańskich. Jak wyżej wspomniano, Waad i wszystkie z nim związane urzędy zostały uchwałą Sejmu Walnego w roku 1764 rozwiązane. Zdawałoby się, iż musiała w tym roku zniknąć także z widnokręgu polskiego osoba sztadlana. Ale są ślady, że sejm żydowski, będący dla żydów naczelną władzą w przedrozbiorowej Polsce, egzystował nielegalnie do Trzeciego Rozbioru. Nie zniknęła też odrazu osoba sztadlana. W drukowanym w „Naszym Przeglądzie" (rok 1924, odcinek 8, szpalta I) dziele E. N. Frenk'a: „Galerja przechrztów polskich" (przekład L. Frenk'a) czytamy:

„Na nagrobku Szmula [Zbytkowera — syndyka] (na praskim cmentarzu) jest napisane, że był on „*Parnes d'arba aracot*", t. j. przedstawicielem Sejmu żydowskiego".

Wiadomo zaś, że Szmul Zbytkower w roku rozwiązania Waad'u, t. j. w r. 1764, był tylko karczmarzem we wsi Zbytki. Zaś p. Nachum Sokołow twierdzi („*Judische Lexicon*", tom M-K: „Polityka żydowska w Polsce"), że instytucja sztadlanów trwała do roku 1828.

Jest rzeczą ciekawą, że w latach 1931 — 1932 w prasie żargonowej ukazał się szereg artykułów, krytykujących mocno obecną politykę sztadlańską władz żydowskich.

F. K.

---

[17]) Lewin, *op. cit.*, str. 63.

[18]) Lewin, *op. cit.*, str. 59.

[19]) Schall, *op. cit.*, str. 160; zobacz jednak dr. Majer Bałaban: „Dzieje żydów w Galicji i w Rzeczypospolitej Krakowskiej 1782 — 1868". Lwów, 1914. Nakładem księgarni polskiej B. Połonieckiego. St. IV + 238. Bałaban na str. 10 wspomina, że Pinkas Szyjewicz był pierwszym syndykiem kahału krakowskiego (1770 — 1790), który władał możliwie językiem polskim.

[20]) Ignacy Schipper: „Komisja warszawska". Przyczynek do dziejów autonomji żydów w dawnej Polsce. Pisma Instytutu Nauk Judaistycznych w Warszawie. Tom IV, zeszyt 2. Str. II + 12. Warszawa, 1931. Nakładem Towarzystwa Krzewienia Nauk Judaistycznych w Polsce. Str. 3 i 9.

[21]) Lewin, *op. cit.*, str. 58. Na tejże stronie p. Lewin wspomina, że w Słucku w r. 1761 wybrano na sztadlana krajowego Chaima, syna Józefa.

LEOPOLD II

ĆWIERĆ WIEKU temu skończyło się czterdziestoletnie panowanie Leopolda II-go, drugiego z rzędu monarchy belgijskiego. Od r. 1830 do 17 grudnia 1909, czyli można powiedzieć, że przez osiemdziesiąt lat, miała Belgja tylko dwóch naczelników państwa. I nie byli to naczelnicy państwa „malowani", jak nie był również „malowanym" ich następca. W kolejności dziejowych zdarzeń przypadło im: utrwalić byt państwa (Leopold I), dać mu bogactwo i źródła niespodziewanej ekspansji (Leopold II), a wreszcie otoczyć mały kraj legendą rycerską, uczynić go symbolem bohaterstwa (Albert I).

Trudno, a nawet nie można powiedzieć, który z monarchów belgijskich był najwybitniejszym, ale napewno indywidualnością najbardziej upartą, która dokonała najbardziej nieoczekiwanych dzieł, był Leopold II. Bez armji, bez pomocy własnego państwa i wbrew woli zarówno społeczeństwa belgijskiego jak wielkich mocarstw, obdarzył drugi Koburg Belgijski swój mały kraj prawdziwie królewskim podarunkiem, dając mu Kongo, terytorjum afrykańskie prawie tak wielkie jak Europa, posiadające ogromne bogactwa naturalne (kauczuk, djamenty, kość słoniowa, złoto). Zajęcie Kongo było wykonaniem programu pokojowej ekspanji światowej, zaś nieustanna i uporczywa troska o wysoki stan obronnej Belgji była dowodem jasnej świadomości patrjotycznej, wyrażającej się w sposób konkretny, nie frazeologiczny.

Istnienie Belgji było pod znakiem zapytania za panowania każdego z trzech pierwszych Koburgów; będąc narażeni na utratę własnej korony, mieli jednak dwaj pierwsi Koburgowie tę satysfakcję, że ofiarowywano im korony obce, i to bardzo piękne, bardzo ponętne (między innemi projektował Sejm frankfurcki w r. 1848 danie cesarkiej korony niemieckiej Leopoldowi I, zaś w r. 1871 Thiers sugerował objęcie tronu francuskiego przez Leopolda II).

Już od wczesnej młodości — pisze w swej doskonałej książce p. Pierre Daye [1]) — podziwiano rozległość zainteresowań przyszłego Leopolda II, jego przenikliwość i pracowitość; konstatowano, że następca tronu belgijskiego, wyglądając na bardzo młodego chłopca (r. 1860), okazuje rozsądek, zrównoważenie i subtelność starego dyplomaty. Nie ulega wątpliwości, że autorytet, płynący z posiadania godności królewskiej, dopomógł Leopoldowi II do zawładnięcia Kongiem i zrealizowania w Belgji szeregu inicjatyw wojskowych, przemysłowo-handlowych i estetycznych, ale bardzo słusznie zauważa p. Daye w swojem dziele, że Leopold II mógł żyć spokojnie i przyjemnie, nie narażając się na bardzo gwałtowne nieraz ataki, zarówno w Belgji, jak zagranicą.

Za najpierwszy swój obowiązek uważał Leopold II staranie się o wysoką zdolność obronną kraju. W ciągu 15 pierwszych lat panowania groziła Belgji nie na żarty aneksja przez Francję, a ostatni dziesiątek lat został zaciemniony przez groźbę najazdu niemieckiego; rozpoczął Leopold II swoje panowanie usilnemi staraniami o ufortyfikowanie kraju i zreorganizowanie armji, kończył zaś je jako najwybitniejszy pionier umocnienia i rozbudowy warowni antwerpskiej, oraz najenergiczniejszy propagator zastąpienia armji ochotniczej przez armję, opartą na powszechnym obowiązku służby wojskowej.

Wielkokapitalistyczne i imperjalistyczne tendencje swojego wieku zrozumiał Leopold II wcześniej i lepiej, niż mężowie stanu i przedsiębiorcy belgijscy, — a nawet wogóle kontynentalni. Te tendencje starał się król belgijski skierować na pożytek swojego państwa i udało mu się to świetnie, gdyż przecież wielkokapitalistyczna, akcyjna i międzynarodowa entrepryza, której inicjatorem i rzeczywistym kierownikiem był Leopold, umożliwiła Belgji posiadanie Konga. Głównym rysem charakteru Leopolda II, tego pół-Koburga i pół-Orleana (przez matkę), była wytrwałość, nie zrażająca się przeszkodami.

Usprawiedliwiona sukcesami polityka Leopolda nie zjednała mu jednak przychylności Belgów, wśród których, ku końcowi panowania, stawał się coraz bardziej niepopularny. W dzień intronizacji Leopolda II, pojazdy królewskie musiały się zatrzymywać wśród tysięcy kwiatów, któremi publiczność zasypała ulice; gdy przez Brukselę szedł orszak pogrzebowy monarchy, który panował 44 lata, odezwały się gwizdy pośród tłumów. Dopiero po śmierci wielkiego króla zaczęli Belgowie oceniać jego zasługi, konstatując słuszność wytycznych jego polityki; przecież przez długie lata Leopold II był jedynym Belgiem, pragnącym kraj przygotowywać do wydarzeń, które nastąpiły w r. 1914. Propaganda Anglików i Francuzów, niezadowolonych z usunięcia ich z centrum Afryki, oskarżała Leopolda II o zaprowadzenie zbyt surowego sposobu eksploatacji w Kongo; z drugiej strony, w sposób najbardziej złośliwy, komentowano sprawy osobiste monarchy. A przecież eksploatacja Konga nie odbywała się w warunkach mniej humanitarnych, niż eksploatacja innych części Afryki przez Anglików i Francuzów.

Albert I miał ułatwione zadanie przez to, że belgowie za jego panowania zdali sobie sprawę z wartości inicjatyw osobistych jego poprzednika. Trudno sobie przedstawić ogrom wiedzy i pracy, poświęconych przez Leopolda II na niezłomne realizowanie w ciągu kilkudziesięciu lat projektów, które ogół polityków i publicystów belgijskich traktował jako chimeryczne. Zaczynając swoją pracę o godz. piątej rano, nie przerywał jej często król Leopold do godziny trzeciej po południu. Ile not, listów, uwag było dziełem króla, jaka misterna gra dyplomatyczna, finansowa i przemysłowo-handlowa odbywała się pod jego bezpośrednim i wyłącznym kierunkiem, tego się nie spodziewali, zajęci wzajemną walką, parlamentarzyści katoliccy, liberalni i socjalistyczni. Przyjemności osobistych miał Leopold II bardzo niewiele, rodzina go nie rozumiała i przyjaciół nie posiadał, gdyż wszyscy jego współpracownicy byli tylko wykonawcami, a nie współinicjatorami, ogarniętymi taką samą namiętnością dojścia do celu, jak sam monarcha. Gdy w ciągu ostatnich kilkunastu lat swojego życia stał się Leopold II jednym z najbogatszych ludzi na świecie, wówczas zaczął zaspokajać swoje osobiste upodobania, prowadząc olbrzymie hodowle kwiatów, zakładając parki, budując i przebudowując pałace (np. wspaniały pałac w Laeken).

Mimowoli nasuwa się porównanie Leopolda II do Ludwika XIV i p. Pierre Daye nie unika tego porównania, zarówno charakteryzując publiczną działalność Leopolda, jak jego życie prywatne. Publiczna działalność drugiego króla belgów miała za wytyczną maksymę Króla — Słońca, że: „Przez pracę się króluje"; w życiu prywatnem trochę romansowości (Cléo de Merode) i małżeństwo morganatyczne z panią de Vaughan również przypominają potrosze niektóre szczegóły intymnego życia najwybitniejszego króla Francji.

A.

[1]) Pierre Daye: „Léopold II", Paris, 1934. Fayard, str. 583.

SŁOWO O ASONANSACH

KOMUŻ bardziej wypadało palnąć kazanie na temat nowych rymów i udzielić nagany asonansom, jeśli nie panu Stanisławowi Pieńkowskiemu [1]), — autorowi, który bodaj przed 35 laty, a więc w zaczątkach „Młodej Polski", otrzymał nagrodę na konkursie krakowskiego „Życia" za kunsztowny, klasyczny niemal sonet. Szkoda, że kompletu „Życia" nie posiada stołeczna Bibljoteka Uniwersytecka, bo wartoby ten wiersz przytoczyć. Autora sonetu znamionuje skrajny idealizm estetyczny, wiara w niezniszczalność i niena-

[1]) Zobacz artykuły St. Pieńkowskiego: „Słowo o rymach" i „Skrzydła poezji", „Myśl Narodowa" nr. 47 i 49 z bieżącego roku.

ruszalność praw, ustaw i zwyczajów w poetyce. Stąd ów arystokratyzm, wyniosłość, jawna pogarda dla przeciwników i tak zrozumiałe uważanie za kalectwo, „głębokie kalectwo organiczne", tego wszystkiego, co odbiega od przyjętych kanonów w zakresie formy dźwiękowej i techniki poetyckiej.

Atak na asonanse jest charakterystyczny i nieodosobniony, bo przed paroma miesiącami potępił asonanse również p. Artur Chojecki w „Gazecie Warszawskiej". Replikowałem wtedy na to krótko i pobieżnie, i właśnie owa replika (co przecież wypadało ujawnić!) stała się punktem wyjścia utyskiwań p. Pieńkowskiego, w artykule pełnym irytacyj i admonicyj w stronę dzisiejszej poezji i obrońcy asonansów.

O cóż tedy chodzi? — Autorowi nietylko nie podobają się asonanse (na co już nikt nie poradzi), ale sądzi też, że wprowadzono je celem ułatwień (!) w pisaniu wierszy i nie szczędzi im epitetów w rodzaju: niby-rymy drewniane i zachrypłe, poezja głuchoniemych i t. p. Słowem: nie uznaje zupełnie w poezji asonansów. Z taką postawą autora właściwie wszelka dyskusja jest zbędna, tembardziej, że sprawę asonansów przesądzili sami poeci, nie czekając opinji arbitrów. P. Pieńkowskiemu zaś dała zaraz świetną odpowiedź w „Myśli Narodowej" (nr. 48) K. Iłłakowiczówna „Balladą o pierwszej żonie", w której właśnie niema tych dwu, rzekomo kardynalnych, elementów, rygorystycznie wymaganych w recepcie Pieńkowskiego: t. j. niema stałego rytmu i pełnych rymów, ale — o dziwo! — jest... poezja!

Zachodzi tu przeto jakieś nieporozumienie. Coś się domaga wyjaśnienia. Nie kusząc się wcale o obraz całokształtu zagadnienia i odsyłając zainteresowanych do prac: Porębowicza, Łosia, Szczerbowskiego, Okołów-Podhorskiego i Żeleńskiego, którzy pisali u nas o nowych rymach i dawno wyjaśnili już wiele kwestyj w tym względzie, — pragnę jedynie w paru szczegółach sprowadzić rzecz na tory umożliwiające porozumienie.

Rym pełny jest, według autora, wartością muzyczną i w tem jego największy walor. Asonans zaś jest: „dysonansem i dlatego nie wiąże utworu w całość, ale go zgrzytami, jak pazurami, na strzępy rozszarpuje"... Dziwne, iż autorowi nie przychodzi tutaj na myśl, że skoro asonans jest dysonansem (co słuszne), to musi stanowić również jakąś wartość muzyczną. Rozwijając obszerną paralelę między muzyką a rymem i rytmem w poezji, zapomina jakoś też o tem, że nieomal cała twórczość muzyczna od stu lat posługuje się dysonansem, jako potężnym efektem artystycznym. Któryś z współczesnych kompozytorów powiedział, że cała muzyka oparta jest na dysonansie. Nikt też dziś nie kwestjonuje roli dysonansu w muzyce, która niewątpliwie nie pozostała bez wpływu na losy asonasu w poezji. Za bezprzedmiotowy wypada uznać spór o wyższość rymów konsonantycznych od asonantycznych w oderwaniu od tekstu poetyckiego, bo nie rymy o poezji stanowią. Natomiast można nawiasem dodać, że mniejby może było nieporozumień, gdybyśmy na oznaczenie dzisiejszych asonansów wprowadzili termin rymów dysonansowych, a wyraz „asonans" pozostawili na określenie asonansu klasycznego i ludowego, z dzisiejszemi nic nie mających wspólnego.

Nie wymaga również dyskusji taka prywatna wypowiedź autora: „asonans, jako że jest dysonansem, zawsze jest brzydki (!)", można zaś, zszedłszy z postawy arbitralnej i wzgardliwej i, licząc się z faktami (bez względu na to, czy są „brzydkie", czy ładne), próbować wytłumaczyć sobie zjawisko asonansu, bez uciekania się do tanich porównań ze skrzydłami „szczerych" (?) ptaków. Próba nie łatwa, skoro dotąd nie mamy zadowalającej teorji powstania rymów pełnych. Otóż, przełamanie praw tradycyjnej poetyki przez umyślne użycie asonansu, jako świadomego efektu poetyckiego, próbowałem (nie ja pierwszy) zestawić z prądem wyzwalania świata z pęt schematyzmu. Pan Pieńkowski nie zrozumiał tego, bo pisze: „Z łatwością udowodnić można, że jak w całej kulturze, tak i w sztuce kończą się wybujałości indywidualizmu, a zaczyna się nawrót do tego, co autor celowo oczernił nazwą schematyzmu"... A przecież schematyzm jest tutaj sprawą techniki lub formy, a indywidualizm może się również posługiwać formami tradycyjnemi; tacy indywidualiści jak Norwid lub Wyspiański, używali tradycyjnych zwrotek, rymów, rytmów, motywów etc.

Nasuwa się dalej uwaga, że powstanie asonasu wiąże się z usiłowaniem wyzwolenia się spod „tyranji rymu" pełnego (termin Boya-Żeleńskiego). Otóż nieorjentujący się w tych sprawach autor niesłusznie tę tezę wyśmiewa. Dzieje rymu dostarczają nam pouczających w tym względzie przykładów: już z końcem XVII i na początku XVIII w. wybucha w Niemczech istny bunt przeciw rymom, rodzą się (pod wpływem literatur klasycznych) usiłowania ograniczenia rymu w poezji, a nawet zupełnego uwolnienia się od rymu i zastąpienia go nierymowanym, białym wierszem angielskim. Wytwarzają się dwa zwalczające się obozy. Zwłaszcza zdecydowanie występują przeciw rymom krytycy szwajcarscy (do których przyłącza się Gottsched). Głoszą oni, że rymy w poezji to zbyteczne więzy, nie widzą w nich żadnych piękności. Najsilniejszym przeciwnikiem rymów jest Klopstock, w obronie ich staje Lessing, a później romantycy. W nowszych czasach znów się się pojawiają przeciwnicy rymów: W. Jordan i A. Holz. Bunt przeciwko rymom nie jest więc rzeczą nową, ma już swą tradycję.

Pośród różnorodnych nieścisłości autora uderzają zwłaszcza opinje historyczne. Wyjaśnić więc trzeba, że niesłuszne jest zdanie, jakoby „języki starożytne nie posiadały dosyć giętkości na rymy", niesłuszne chociażby dlatego, że właśnie z łacińskich hymnów kościelnych nauczyła się Europa rymować! Dodamy nawiasem, że u poetów starogreckich i łacińskich spotyka się rymy wcale często, i możnaby się spierać, czy nie bywały niekiedy użyte umyślnie, w celu wywołania osobliwego efektu dźwiękowego (np. w „Antygonie" Sofoklesa, lub w niektórych pieśniach Horacego).

Niepodobna jednak przedłużać tych uwag, tak wiele bowiem sądów autora budzi zastrzeżenia. Dyskusja w sprawach formalnych nowej poezji byłaby rzeczą bardzo pożądaną, ale trzeba przystępować do zagadnienia z dobrą wolą, bez uprzedzeń i chimer, bez pogardliwego dworowania i moralizowania, a za to ze znajomością badań dotychczasowych i z głębszą orjentacją w przedmiocie, o którym chce się bezapelacyjnie wyrokować.

PIOTR GRZEGORCZYK

GŁOSY

GDY PEWNEJ NIEDZIELI wrześniowej młodzież narodowa w Warszawie szczególnego doznawała niepokoju o los swoich kolegów, dziwnym zbiegiem okoliczności rozgłośnia lwowska nadawała odczyt p. t. „Doskonały obywatel w świetle wskazań marszałka Piłsudskiego". Nie była to „wesoła fala"... Odczyt wygłaszał zasłużony „wychowawca", dr. Piotr Zygmunt Dąbrowski, od niedawna gorliwy wyznawca „ideologji", a dotąd bezskutecznie oczekujący wizytatorstwa w Kuratorjum Okręgu Szkolnego lwowskiego. Mówca z wielką mocą wygłaszał zasady, dziwnie dobrane do chwili, a — jakby się zdawać mogło — głęboko przeżyte.

Niedawno właśnie „fragment" tego odczytu, pozbawiony przytem patosu radjofonicznego wygłoszenia, ogłoszony został na łamach „Anteny". Dla pamięci zanotować chcę, według tego źródła, parę ustępów. Przeczytają je może ci, którym owego niedzielnego popołudnia nieoczekiwane okoliczności nie pozwoliły słuchać radja...

„Warunkiem doskonałości moralnej Państwa (będącej warunkiem jego potęgi) jest udoskonalenie duszy polskiej. „Trzeba mieć tę otwartość i szczerość" — mówi marszałek — „ażeby od siebie i wszystkich innych wymagać ulepszenia duszy ludzkiej"...

„Zadaniem więc Polski, jej racją bytu, jest przodownictwo kulturalne. Drogą do pełnienia tej roli dziejowej jest doskonalenie się życia kulturalnego w Polsce, a w szczególności doskonalenie się duchowe człowieka...

...Marszałek w całej swojej działności konspiratorskiej, w całej walce o Polskę hołdował zasadzie: mierzenia siły na zamiary... „W dzieciństwie mojem ciągle mi szeptano do uszu tak zawsze mądre przysłowia: „Nie dmuchaj pod wiatr"! — „Głową muru nie przebijesz"! — „Nie porywaj się z motyką na słońce"! — Doszedłem później do tego, że silna wola, energja i zapał mogą te właśnie zasady załamać. I obecnie, kiedy stoimy wobec wielkich zadań dalszej rozbudowy państwa polskiego, właśnie potrzeba nam ludzi, którzy potrafią tej starej mądrości tych pomysłów się przeciwstawić!"

...Ażeby jednak móc skutecznie porywać się z motyką na słońce, trzeba drugiej cechy, trzeba umieć chcieć!... A przecież „nawet bandyta musi umieć chcieć i za to swoje pragnienie się narażać". Ale umieć chcieć i narażać się dla swych pragnień potrafi tylko człowiek, który wie, o co walczy, który ma jakieś poglądy i walczy o ich prawo do życia. Polak winien mieć pewne własne, przemyślane, przeżyte przekonanie i umieć o nie walczyć. „Tylko ten człowiek wart nazwy człowieka, który ma pewne przekonania i potrafi je, bez względu na skutki, wyznawać czynem". Polak więc nietylko powinien posiadać mocny pogląd na świat, ale i umieć być apostołem swego poglądu. Apostołowi zaś musi przyświecać niezłomna wola zwycięstwa, oparta na przekonaniu, że bez walki, i to często walki na ostrze — jak mówi marszałek — niema zwycięstwa".

Wola ta jednak nie może być wolą łamania charakterów i upodlania ludzi. W Polsce zresztą — wierzymy w to silnie — wola taka wieść będzie zawsze do „syzyfowych prac"!

Bo i odczyt mówi dalej: „Wreszcie jeszcze jeden postulat. Polak — to człowiek, który ma szacunek dla siebie, który nigdy nie wypiera się siebie. „Jestem wyznawcą zasady" — mówi marszałek — „że ten, kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, nie jest godzien szacunku teraźniejszości, ani ma prawa do przyszłości"... „Człowiek bowiem w całem tego słowa znaczeniu kochać musi, nie wstydząc się swego wczoraj, by żyć, pracując w dniu dzisiejszym, by znów jego nie wstydzić się jutro."

A czyż moglibyśmy uwierzyć, że w Polsce zabraknie kiedykolwiek ludzi, mających prawo do własnego i cudzego szacunku, — cokolwiekby się działo w eterze i na ziemi!

NAUKA i LITERATURA

O PRZEWROCIE BOLSZEWICKIEM

ZAGADNIENIE politycznych i kulturalnych stosunków odrodzonej Polski z dzisiejszą Rosją stopniowo zdąża do coraz trafniejszego rozwiązania. Zwłaszcza w dziedzinie polityki zagranicznej osiągnęliśmy na tym terenie pożyteczne zbliżenie. Mniej celowe wydadzą się próby nawiązania stosunków kulturalnych — bądź to w zakresie literatury, bądź wymiany idej naczelnych, uzewnętrznianej na drodze publicystycznej. Próby takiego kontaktu — umysłowego i ideowego — oddawna już były lansowane, przedewszystkiem przez te sfery literackie i dziennikarskie, które w swojej naturze mają wysoko rozwinięty zmysł komiwojażerski i patronują w każdym kraju stosunkom sąsiedzkim między społecznościami rdzennemi. Oczywiście, trudno w zasadzie mieć coś przeciwko kontynuowaniu wzajemnego zbliżenia dwu ościennych i pokrewnych narodów — tembardziej, że system muru chińskiego w tej dziedznie daje wręcz przeciwne od zamierzonych wyniki. Tem nie mniej winniśmy pamiętać, że nie o całym narodzie polskim da się powiedzieć, iż jest najbardziej wschodnim z narodów zachodnio-europejskich. Dodajmy, że Rosja bolszewicka starła z siebie tę warstwę bliższej nam kultury, jaką jej w przeszłości przyniosło chrześcijaństwo. Nie można się oprzeć wrażeniu, że zatraciliśmy dziś wspólny język, jakim w chwilach szczerości można się było porozumieć z naszym, doniedawna chrześcijańskim sąsiadem. Nie wiemy, jakimi są Rosjanie wewnątrz olbrzymiego imperjum, znamy dziś tylko literaturę i sztukę eksportową — nie biorąc pod uwagę emigracji, która w naturalnym procesie rozwojowym coraz mniej ma sposobności do czerpania natchnień z rosyjskiej rzeczywistości. W tej sytuacji informacje osób trzecich są niezmiernie cenne, o ile naturalnie utrzymane na poziomie możliwego objektywizmu.

Autor książki o przewrocie bolszewickim[1]) „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem", John Reed, korespondent amerykańskich gazet socjalistycznych, pozostający w zażyłych stosunkach z ogniskiem rewolucji, t. zw. „Smolnym Instytutem", miał możność dotarcia wszędzie, bo nawet na linję walczących podczas wojny domowej, „białych" i „czerwonych". stąd też płynie wszechstronność relacyj.

Inna rzecz, gdy szukać tu będziemy objektywnej prawdy historycznej. Całe bogactwo ciepła uczuciowego i sympatji sprawozdawcy mieści się po stronie spisku bolszewickiego, w którym potrafi on dostrzec siłę woli, poświęcenie i wogóle zespół cech psychicznych, decydujących o możliwości rozwoju, a będących przeciwstawieniem dekadencji. Z tem zdaniem stosunkowo łatwo się zgodzić — wprost niepodobna pomyśleć powodzenia zamachu bez pewnej ilości zorganizo-

---

[1]) John Reed: „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem". Warszawa 1934, wyd. J. Przeworskiego, przełożył z angielskiego Aleks. Dobrot, str. 479.

wanych i zdolnych do poświęceń ludzi. Również nie będziemy kruszyć kopji w obronie moralnej wartości obrońców starego *regime*'u — stwierdzić należy, że w zainscenizowanem przez obcych starciu dwu części narodu, jedna — to znaczy inteligencja, drobne mieszczaństwo, arystokracja i oficerowie — okazała się słabą duchowo, wątpiącą o własnej wartości (naoczni świaokowie opowiadają, że oficerowie rosyjscy, interpelowani przez Polaków w sprawie chwiejności postępowania w decydującej chwili, odpowiadali, że nie mają moralnego praw pogardzania swymi przeciwnikami, ani ich zwalczania) i wartości sprawy, gdy druga strona — ludzie z nizin społecznych, własną przestępczość podnoszący do godności obowiązującego obyczaju (całe mistrzostwo państwowej propagandy leży w tem, by społeczeństwo, zgubione w sofizmatach, uwierzyło w te, jaskrawo nieharmonijne zasady, przeciw którym buntuje się wielowiekowy instynkt chrześcijański) — z całą siłą i dobrą wiarą fizycznego egoizmu szła ku twardemu rozstrzygnięciu.

Tyle co do zalet bojowych bolszewików. John Reed jednakże nie ogranicza się do objektywnej konstatacji, ale wyraźnie opowiada się po stronie spisku: „Bolszewicy zawojowali władzę bez zawierania kompromisów z klasami posiadającemi lub z innemi partjami politycznemi. Nie dokonali tego również zapomocą zorganizowanego gwałtu nielicznej grupy, ignorującej wolę ludu. Gdyby wielkie masy ludności rosyjskiej nie były przygotowane do powstania, to musiałoby się ono zakończyć niepowodzeniem. Jedyna przyczyna powodzenia bolszewików tkwi w tem, że spełnili gorące i proste życzenia najszerszych warstw ludu, który wezwali do rozwalenia i zniszczenia starego świata, by potem w dymie jego zgliszcz założyć wspólnym wysiłkiem podwaliny pod nowym"... (str. 353).

Zapomniał, dziś już nieżyjący, autor, że przewrotu dokonano w Piotrogrodzie bez udziału najliczniejszej warstwy narodu rosyjskiego, włościaństwa, że następnie w ciągu rewolucji bolszewicy zamordowali: „28 biskupów, 1.219 księży, 6.000 nauczycieli, 9.000 lekarzy, 54.000 oficerów, 260.000 żołnierzy, 70.000 policjantów, 112.950 właścicieli ziemskich, 355.250 inteligentów, 193.200 robotników, 815 000 chłopów" (przypomnienie według książki socjalisty, Henri Béraud: *„Çe que j'ai vu à Moscou"* — statystyka mordów, dokonanych przez „czrezwyczajki" tylko do r. 1923).

Trudno przypuścić, by najgorętszem życzeniem tych, którzy rzekomo poparli spisek, była tak potworna hekatomba najcenniejszej krwi narodu. Tej plamy nie zasłoni wyniosła sylweta gmachów fabrycznych Magnitogorska, czy Dnieprostroju...

„Kalendarz komunisty" na rok 1925 podaje: „Ilość naszych członków czynnych wynosi około 400.000 ludzi... Walczymy o kierowanie... masami i dyktaturę proletarjatu... Dyktatura proletarjatu jest władzą rewolucyjną, opierającą się na gwałcie nad burzuazją... Dyktatura proletarjatu nie może być całkowitą demokracją, demokracją dla wszystkich" (str.: 425, 362. 316— dane z książki „Zamach bolszewizmu na młodzież", H. Glassa, który na str. 33 cytuje z dziełka Theodora Aubert'a: *„L'Affaire Conradi"*, Genewa, 1924 r.).

A więc znowu jest nonsensem mówić o woli ludu tam, gdzie się ma do czynienia ze spiskiem i dyktaturą zorganizowanej mniejszości. W jakim stopniu spełnili bolszewicy „gorące i proste życzenia" zwykłego proletarjusza, robotnika miejskiego, informuje nas p. Jan Iwasiewicz w książce p. t. „Warunki pracy i życia robotników w Rosji sowieckiej" (Warszawa, październik 1932): „...przeciętna powierzchnia mieszkalna, oddana do użytku jednego robotnika, zatrudnionego w zakładach przemysłowych, wynosi 3 mtr. kwadratowe, a w niektórych miejscowościach zaledwie $2^1/_2$ mtr.² Przestrzeń ta, według złośliwego określenia samych robotników, równa się powierzchni „półtorej trumny". Czaspismo „Trud", będące oficjalnym organem związków robotniczych, opisuje mieszkania, oddane do użytku murarzy, pracujących w jednym z zakładów państwowych, w następujący sposób: „większość zamieszkuje zniszczony barak drewniany, w którym na każdego z nich przypada od 0,58 do 1,14 sążnia kwadratowego powierzchni. Powietrze w tym budynku jest wysoce niezdrowe, z powodu wyziewów i dymu z pieców, któremi jest ogrzewany barak. Podłogi nigdy nie są myte, a na ścianach roi się robactwo. We wszystkich izbach mieszkają razem mężczyźni, kobiety i dzieci. Dwie do trzech osób śpią na jednym tapczanie, który jednocześnie służy za stół i ławkę" (str. 15).

Podobnych przykładów, zaczerpniętych przez p. Iwasiewicza z czasopism robotników sowieckich, możnaby namnożyć w miarę potrzeby publicystycznej b. wiele. Ramy artykułu każą ograniczyć się do przypomnienia powyższych, typowych wypadków, ilustrujących nędzę proletarjatu w „raju sowieckim".

Opisując zbiorowy pogrzeb ofiar rewolucji w Piotrogrodzie, Reed doznaje libertyńskiego olśnienia: „I nagle zrozumiałem, że pobożny naród rosyjski już nie potrzebuje popów, którzyby się dla niego modlili o królestwo niebieskie, gdyż sam buduje na ziemi królestwo, jakiego żadne niebo daćby mu nie potrafiło, królestwo, dla którego słodko umierać"... (str. 317). Wizerunek Bronsteina-Trockiego w widzeniu Reed'a zgadza się naogół z ustalonym rysopisem: „Potem w imieniu bolszewików wszedł na trybunę Trocki. Ostra, szczupła twarz, wyrażająca złośliwą ironję, miała iście mefistofelowski wygląd" (str. 99). „Trocki podniósł się, blady, z wyrazem okrucieństwa na twarzy. Bogaty głos zadźwięczał chłodną pogardą" (str. 126). „Na trybunie zjawił się Trocki, przywitany rykiem. Mówił z jadowitym spokojem, świadomy swej siły" (str. 174). „Znów na trybunie stanął Trocki, opanowany i pewny siebie. Sarkastyczny uśmiech, który krążył dokoła jego ust, był prawie szyderczy" (str. 184). „Trocki komunikował o wydarzeniach... „Dlaczego nie jesteście razem z czerwonogwardzistami?" — krzyknął jakiś ostry głos. „Właśnie idę do nich!" — odpowiedział Trocki, schodząc z trybuny. Był cokolwiek bledszy, niż zwykle. W otoczeniu serdecznych przyjaciół opuścił salę bocznem wyjściem i pośpieszył do czekającego samochodu"... (str. 266).

Dla porównania cytuję z raz wspomnianej książki H. Glassa: „Trocki-Bronstein, żyd, organizator i wieloletni wódz armji czerwonej. Chudy, czoło szerokie, na głowie gęste, czarne włosy, nos zakrzywiony. Twarz z wyrazem woli, chytrości, gwałtowności, ale i ukrytej tchórzliwości" (str. 13). Ostatnia cecha, stwierdzona także i przez, niepodejrzanego chyba o złośliwość, Reeda, typowa dla tej rasy. Warto na zakończenie przypomnieć cyniczne zdanie Trockiego, wypowiedziane w broszurze *„Oktiabrskaja Rewolucja"*: „Jesteśmy dziś tak potężni, że gdybyśmy ogłosili jutro dekret, wzywający mężczyzn Piotrogrodu do stawienia się na Polach Marsowych określonego dnia, o określonej godzinie, w celu wymierzenia każdemu po 25 uderzeń w twarz, to 75% zgłosiłoby się natychmiast i stanęło w kolejce, podczas gdy zaledwie 25%, bardziej inteligentnych, pomyślałoby o zaopatrzeniu się w świadectwa lekarskie, celem uniknięcia tego upokorzenia" (H. Glass, tamże, str. 21). ES.

JAK MYŚLIMY?

POD tym tytułem wyszło tłumaczenie książki Dewey'a[1]), znanego pedagoga i myśliciela amerykańskiego, twórcy uniwersyteckiej szkoły doświadczalnej w latach 1896 — 1903, która się przyczyniła do zerwania z europejskim, tradycyjnym systemem nauczania i pchnęła szkoły amerykańskie na drogi samoistnych poszukiwań.

[1]) John Dewey: „Jak myślimy"? Przekład dr. Z. Bastgenówny. Książnica-Atlas. Bibljoteka Przekładów Dzieł Pedagogicznych, t. 21.

P. Zygmunt Mysłakowski, prof. krakowskiego uniwersytetu, daje we wstępie charakterystykę umysłowości Dewey'a, korzystnej dla polskiej myśli filozoficznej przez swe wartości konkretne, które silnie przykuwają do rzeczywistości i chronią umysł przed formalizmem abstrakcyjnego myślenia, czego przykładem może u nas służyć Hoene-Wroński.

W przedmowie autor zaznacza, że celem jego książki jest przekonanie czytelnika, iż umysłowość dziecka, przez swą palącą ciekawość i zamiłowanie do badań doświadczalnych — zbliżona jest do naukowego sposobu myślenia. Stąd wniosek, że system nauczania musi się dostosować do tej zasadniczej cechy natury dziecięcej.

Zastanawiając się nad tem, czem jest myśl, wyodrębnia ją od mniemania oraz hypotez i utożsamia z rozważaniem, które prowadzi do wniosku wyrozumowanego.

Myślenie sprowadza całkiem konkretnie — do rozwiązywania jakiegoś zagadnienia. Aby to mogło nastąpić, zjawia się konieczność ciągłego kierowania myśleniem, zdyscyplinowania go, nałożenia hamulca na wyobraźnię i jej siłę sugestywną.

Myślenie, wnioskowanie, ujęte w karby, prowadzi do dowodu, który wywołuje naszą zgodę, co stanowi sprawdzian, że wnioskowanie nie poszło błędnemi drogami.

Według Dewey'a wychowawca ma za zadanie wyrobienie w uczniu nawyków nietylko logicznego myślenia, ale i opierania swego sądu tylko na dowiedzionych twierdzeniach. Przypuszczenia i hypotezy nie powinny wchodzić w rachubę.

Musimy tu zaznaczyć, że takie szkolne ujęcie pracy myślowej, choć posiada niewątpliwie wychowawcze znaczenie — pod względem filozoficznym stanowi przeżytek. Europa już dawno wyszła poza szranki suchego racjonalizmu i tylko zmysłowego ujmowania zjawisk. W Ameryce nawet myślenie abstrakcyjne nie może zerwać z materjalizmem.

Za podstawę wszelkiej wiedzy o rzeczach uważa autor ciekawość. Małe dziecko ujawnia bezustanną czynność badania, próbowania, ssania wszystkiego. Takie eksperymentowanie nie jest jeszcze umysłowe, ale stanowi punkt wyjścia dla zainteresowania intelektualnego. Zadaniem nauczyciela jest rozdmuchiwanie tej iskry zdziwienia wobec zjawisk oraz planowe pobudzanie do badawczości. W tym celu musi, zapomocą metod postępowania i układu zajęć, stworzyć warunki korzystne dla rozwoju tej ciekawości naukowej.

Nauczyciel, wedle słów Dewey'a, powinien się stać „przezroczystym" dla ucznia, nie powinien pobudzać do naśladowania go, gdyż tem zabija inicjatywę myślenia i bezpośredniość ustosunkowania się do przedmiotu nauki. Uczeń nie powinien się troszczyć o to, co nauczyciel powie o jego pracy, czy ona go zadowoli, lecz czy rozwiązuje przez nią dane zagadnienie.

Celem nauki szkolnej jest praca doświadczalna, a nie nabywanie wiadomości, których nadmiar tamuje często proces myślenia, czego dowodem są ludzie o wielkiej erudycji, nie mogący zużytkować swej wiedzy.

Jako cel wykształcenia stawia Dewey nabycie ostrożnego, bystrego i gruntownego myślenia — oraz przekształcenie uzdolnień wrodzonych — w wyszkolone i wypróbowane. Dzieje się to na drodze wydyscyplinowania umysłu, które wyzwala zdolności konstruktywne.

To są założenia, wnioski wyprowadza autor daleko idące i to w różnych kierunkach. Porusza kwestję mowy — jako narzędzia myślenia, mówi o nadużywaniu metod językowych w nauczaniu oraz właściwym sposobie tegoż nauczania, prowadzenia lekcji.

W końcowych rozdziałach Dewey wybiega poza rzeczywistość i pisze w sposób porywający o wyobraźni, jej znaczeniu dla nauki historji, literatury, geografji i matematyki oraz daje śmiałe wskazania nauczycielom, aby się nie bali pomocy wyobraźni tam, gdzie się nie ma przed oczami rzeczywistości. Wyobraźnia wówczas tylko jest nieproduktywna, gdy traci wartość logiczną. Odbieganie myślami od rzeczywistości w krainę złudzeń, do rzeczy obcych i dalekich staje się niekiedy koniecznością psychologiczną. Płynie stąd umotywowanie istnienia sztuki.

Książkę Dewey'a czyta się z dużą łatwością, pomimo trudności zagadnień, a to z tej przyczyny, że abstrakcyjność rozumowania oparta jest na konkretnych przykładach.

Dobry język przekładu czyni książkę bardziej zajmującą.

J. G.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

W dniu 16 b. m. zmarł w Paryżu, przeżywszy 77 lat, Gustaw Lanson, znany badacz literatury, b. profesor Sorbony, honorowy dyrektor „Wyższej Szkoły Normalnej" *(„Ecole Normale Supérieure")*. Jako historyk literatury francuskiej zaznaczył się zmarły głównie zastosowaniem w jej badaniach ścisłej metody naukowej, wolnej od próżnej retoryki. Kierując przez długie lata „Wyższą Szkołą Normalną", niejednemu pokoleniu jej uczniów, kształcących się na profesorów, narzucił swoją metodę, co też wpłynęło na jej rozpowszechnienie i ujawniło się w sposobie traktowania dziejów literatury.

G. Lanson jest autorem szeregu monografij, poświęconych wielkim pisarzom Francji — Bossuet'owi, Boileau, Corneille'owi, Voltaire'owi (tłumaczona na polski przez G. Balicką) i t. p. Poza Francją zasłynął przedewszystkiem jako autor podręcznika literatury francuskiej *„L'histoire de la littérature française"*. Z innych prac zmarłego zasługują na wymienienie następujące: „Zarys historji tragedji francuskiej" (*„Esquisse d'une histoire de la tragédie française")*, „Ideał francuski w literaturze od Renesansu do Rewolucji" *(„L'idéal français dans la littérature de la Renaissance à la Révolution")*, następnie czterotomowy „Podręcznik bibliograficzny literatury francuskiej nowożytnej" (od 1500 r. — do naszych czasów) i „Metoda historji literackiej". (W. J.)

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Zakład Naukowy im. Ossolińskich, zaprosiwszy wybitnych specjalistów do współpracy pod kierownictwem prof. Władysława Tatarkiewicza i prof. Stanisława Gąsiorowskiego jako redaktorów, wydał w krótkim czasie wielki, trzytomowy podręcznik „Historji Sztuki".

Wydawnictwo uwzględnia najnowsze zdobycze w dziedzinie historji sztuki. Uwzględniając polski dorobek zarówno artystyczny, jak i kolekcjonerski, wolne jest od tendencyjności i jednostronności. Wykład, utrzymany na wysokim poziomie naukowym, przeznaczony jest nie dla samych fachowców, ale dla szerokich kół inteligencji.

Całość składa się z trzech dużych tomów, zawierających ogółem około 1500 stron, w tem tysiąc ilustracyj. Tom I. obejmuje sztukę prehistoryczną i wczesnohistoryczną w opracowaniu Dra Józefa Żurowskiego, oraz sztukę starożytnego Wschodu, Egei, Grecji, Rzymu i starochrześcijańską w opracowaniu Dra Stanisława Gąsiorowskiego. Tom II. obejmuje sztukę średniowieczną (Bizancjum, wczesne średniowiecze, romanizm i gotyk) w opracowaniu Dra Mieczysława Gębarowicza. Tom III. obejmuje architekturę nowożytną (renesans, barok i klasycyzm) w opracowaniu Dra Władysława Tatarkiewicza, profesora Uniwersytetu Warszawskiego, malarstwo i rzeźbę nowożytną w opracowaniu pana Jana Żarnowskiego z Paryża, oraz sztukę najnowszą w opracowaniu prof. Tadeusza Szydłowskiego.

Wysokiemu poziomowi wykładu odpowiada szata zewnętrzna. Bogaty materjał ilustracyjny, na doborowym papierze, jest nietylko ozdobą, ale i uzupełnieniem tekstu.

Całość „Historji Sztuki" w trzech tomach o łącznej ilości 1.402 stron i 996 ilustracyj kosztuje zł. 45.—. Pojedyncze tomy po zł. 18.—

*

Ukazał się rocznik pierwszy pisma „Życie Sztuki" pod redakcją Z. L. Zaleskiego. Skład główny i administracja: Kasa imienia Mianowskiego, Warszawa, pałac Staszica. Cena zł. 6.

„Życie Sztuki" pragnie poruszać żywe zagadnienia i podawać kronikę żywych wydarzeń.

Do „żywych zagadnień" zaliczamy tu oczywiście szereg problematów estetyczno-filozoficznych, jak podział i współżycie sztuk, konstruowanie sądów estetycznych i hierarchji wartości; jak styl i style; forma i treść dzieł; metody historyczne i modne dziś rugowanie historji z „nauki o sztuce"; dalej — analizy dzieł i „krytyka dzieła współczesna", czyli stosunek twórcy i odbiorcy w dziedzinie sztuki, a nade-

wszystko, sprawa roli sztuki w życiu zbiorowem i jej znaczenie dla budującego swą przyszłość kulturalną narodu.

Pierwszy zeszyt, objętości 270 stron, zawiera wiele ciekawych studjów i szkiców. Między innemi: Tadeusza Zielińskiego: Religja a sztuka w Grecji, Z. L. Zaleskiego: Jedność i wielość sztuki, Lecha Niemojewskiego: Zagadnienie architektury narodowej w Polsce, Tymona Terleckiego: Tendencje formalne współczesnego teatru polskiego, Michała Walickiego: Z badań nad problemem narodowości i rozwojem indywidualizmu w polskiem malarstwie gotyckiem, Celiny Osieczkowskiej: Ze studjów nad szkołą polską malarstwa bizantyjskiego, Juljana Starzyńskiego: Dwór artystyczny Jana III, Tad. Mańkowskiego: Mecenat Stanisława Augusta i wiele przeglądów za rok 1933.

*

Nakładem Zakładu im. Ossolińskich we Lwowie ukazało się interesujące dzieło Kazimierza Chłędowskiego p. t. „Z przeszłości naszej i obcej". Lwów 1935. (Str. VIII+711, ilustr. 69, cena zł. 30). Wydanie uskutecznił według wskazówek autora prof. Ludwik Bernacki.

Całość składa się z wielu szkiców, podzielonych na grupy: Z dziejów Galicji, Obrazki galicyjskie, Czasy i ludzie, Z dziejów literatury, Sztuka i teatr, Z dziejów włoskiej kultury. Dla miłośników przeszłości szkice Chłądowskiego są ucztą niemałą. Obejmują one trzy ćwierci w. XIX i są skarbnicą materjału do dziejów kultury Galicji.

TEATR

DZIADY

TRUDNO bez głębokiego wzruszenia wsłuchiwać się w poemat taki, jak „Dziady". Jest coś niedyskretnego, gdy się z książką obcuje; a gdy on spływa ze sceny na liczne rzesze, w różnym nastroju słuchające, gdy w tej spowiedzi publicznej pośredniczy gromada ludzi i cały kombinowany zespół środków artystycznych, to nieraz człowiek sobie myśli podczas przedstawienia, że chętnieby się zrzekł widowiska, aby być z Mickiewiczem sam na sam. W poemacie tym bowiem niema nic, coby mogło mieć znaczenie poza osobistością poety, a ten ginie w przyciężkiem widowisku.

Rzecz się dzieje nie w świecie, lecz we wnętrzu poety. Są to procesy fermentu duchowego, poddane świadomości, inscenizowane, jakby rozdane na głosy. Choćby Gustaw, później Konrad nie schodził ze sceny i ciągle mówił, to niepodobna tak sceny uplanować, aby widoczne było, że wszystko poza poetą jest tylko snem jego życia.

Wysiłek teatru Polskiego jest niemały, reżyser p. Leon Schiller ma dużo inwencji, ale nie jest on kongenjalny z Mickiewiczem, za nowoczesny jest. I ten cały przepych środków jest zbyt nowoczesny; może lepiej odpowiadałaby tu naiwność takiej sztuki, jaka istniała sto lat temu. Miał rację p. Schiller, że zamierzył wtłoczyć w ramy wieczoru teatralnego całość „Dziadów", choćby skróconą. Inaczej nie byłoby widać całego Mickiewicza. Osobno wzięte sceny cmentarne, wogóle partja Gustawa osobno wzięta byłaby tylko fragmentem Mickiewicza, którego przecież nie wyobrażamy sobie, zamkniętego w ramach werteryzmu. Ale tu może był błąd, że za wiele miejsca dano temu fragmentowi, za wiele było etnografji; najważniejsze zaś etapy rozrostu duchowego Konrada znalazły się na planie drugim, bardzo nieraz w tekstach poskrócane i podane już mocno zmęczonym słuchaczom.

Partja Konrada, w której Mickiewicz dochodzi do szczytów swej świadomości religijnej i narodowej, jest niemal niedostępna dla teatru, w rzeczach metafizycznego niezbyt biegłego. Niepotrzebnie też p. Schiller brał na swoją odpowiedzialność takie zmiany w poemacie, jak włączenie szatana do osoby Konrada. Rzecz sobie uprościł, ale bez skutku. Konrad zgrzeszył bluźniąc, ale to jego sprawa przed Bogiem, pocóż jednak ośmieszać wspaniałego Prometeja przed ludźmi, kazać mu się czołgać po scenie na czworakach i udawać zwierza? Niepotrzebnie też z balu u senatora zrobiło się balet.

Gustawa - Konrada pięknie deklamował Węgrzyn, duże też wrażenie zrobiła p. Wysocka w roli Rolissonowej. Cały zespół artystów dobrze się zasłużył. Z. W.

„HENRYK IV"

LAUREAT nagrody Nobla, Luigi Pirandello, prawdopodobnie ma lepsze do sławy tytuły, niż utwór, którym narazie wsławił się najwięcej. „Henryk IV", wystawiony znów w teatrze „Nowym", wzbudził zdziwienie: pomimo swej młodszości sztuka wydała się nam czemś — w odrębnej swej kategorji — równie przeżytem i przebrzmiałem, jak owe odległe echa przybyszewszczyzny teatralnej z przed lat trzydziestu. Zastanawiając się nad świeżem stosunkowo powodzeniem i rozgłosem Pirandella, trudno opędzić się myśli, że mamy do czynienia z humbugiem, ale w skali międzynarodowej. „Henryk IV" zaprezentował jeden z licznych gatunków pseudointelektualizmu, ogłupiających Europę w ostatnich lat dziesiątkach.

Autor stwarza na scenie nastroje mroku, półprzytomności i grozy, aby w tych warunkach wypowiedzieć swoje trzeźwe zdanie o istocie prawdy, wartości historji itp. Niestety, nawet zaprezentowane w ten najkorzystniejszy sposób, aforyzmy Pirandella nie przestają być bądź truizmami, bądź ćwierćprawdami. Co gorsza, także i obłęd szaleńca, który je wypowiada, jest tylko pseudo-obłędem, manierą literacką. Warjat, udający cesarza Niemiec, upokorzonego w Kanossie, jest zdrowy, i tylko warjata udaje. Ale o tem przekonywamy się na dobre dopiero pod koniec utworu. Prawdziwą psychologję bohatera i innych osób działających wytłumaczyć ma mechanika kompleksów i kompensat: psycho analiza. Niestety, i tu także: pseudo-psycho-analiza. Daleko utworowi Pirandella do tej przejrzystości psycho-analitycznych konstrukcyj, jaką często podziwiać możemy u innych, schematyzujących psychologję beletrystów. Mechanika psycho-analityczna wyjaśnić ma najgłębsze motywy i pobudki działania bohaterów: ale jakże niezgrabnie używa jej do swoich celów autor! Jakoś w tym wypadku genjusz łaciński nie uszlachetnił kształtów, wymyślonych przez mózgowość żydowską: a ten owoc współpracy Pirandella z Freudem nie jest smaczny.

Najprzyjemniejsze w sztuce są niektóre trzeźwe akcenty satyry politycznej i szyderstwa: jak owo napawanie się udającego obłęd władcy pokłonami, które biją przed nim poddani dlatego, że jest warjatem. Sztuka w całości nieznośna jednak, póki się nią nie bawić, jako próbką pewnego, szczególnie dziś popularnego rodzaju humbugu.

Publiczność wychodziła z teatru w nastroju raczej uroczystym. Gra aktorów, zwłaszcza znakomitego odtwórcy roli tytułowej: Junoszy Stępowskiego, zasługuje na wysokie pochwały.

W. J. C.

FILM

CAPITOL: „Czarna Perła" reż. Mich. Waszyński.

W przeciwieństwie do częstego biegu rzeczy, w wielu naszych krajowych filmach, tu — odwrotnie — zakończenie jest w efekcie lepsze, niż początek, a film poczyna nabierać rumieńców życia dopiero od drugiej jego połowy. Autorzy tego utworu nie mieli zbyt wygórowanych ambicyj to też, nie mając do nich pretensyj o to, co nie leżało w ich zamierzeniach, rozważmy raczej jakość wykonania filmu, który miał być w miarę sensacyjny, w miarę pogodny.

Otóż przedewszystkiem ta sensacyjność zawodzi, na początku — wskutek braku tempa, niedbałego sklecenia niewłaściwym montażem pojedyńczych scenek w niezbyt przekonywającą całość, nie rozwijającą akcji w sposób dla nas dostatecznie interesujący. Dalej, więcej ku środkowi filmu, przetasowywanie poszczególnych fragmentów idzie już bardziej składnie i odpowiednio do treści, która chce być sen-

sacyjną. Niestety właśnie treść, pomysły, chwyty, sposoby i kombinacje, któremi reżyser każe się posługiwać szajce występujących tu aferzystów, są z kategorji tak zwietrzałych, dziecinnnych i naiwnych, a w najlepszym razie naciągniętych, że zamiast oczekiwanego dreszczyku emocji, wywołują raczej kpiący uśmiech, lub nawet zgoła śmiech. To też aktorzy, postawieni w podobną sytuację, grają, w tych momentach, bez przekonania, blado (Bodo), albo, dla odmiany, zgrywają się.

Sympatyczny nastrój, szczerość i bezpośredniość wnosi ze sobą na ekran Revi, aktorka i tancerka egzotyczna, która przebywa u nas przez pewien czas i dzięki temu mogła wystąpić w tym filmie. Ona właściwie gra najlepiej i zyskuje całkowitą naszą sympatję; sceny z nią, acz w efekcie często nie nowe (lekcja polskiego), należą do najmilszych. Sekunduje jej, równie sympatyczny Znicz. Wabikiem tego, niezbyt udanego filmu będzie jednak zapewne tylko Revi i na niej się publiczność nie zawiedzie.

Udźwiękowanie szwankuje, zdjęcia, na początku, miejscami też.

— — — — — — — — — — — — — — —

A teraz, na marginesie, jedna uwaga. W amerykańskich filmach sensacyjnych zbrodnia zawsze jest ukarana, a cnota wkońcu triumfuje. Pokpiwamy sobie ze zbyt, często, prostotliwego przeprowadzania przez fabułę tych spraw, ale czyż samo postawienie kwestji nie jest w zasadzie słuszne? Gdyby postępywano inaczej, film, jako rozrywka dla szerokich mas, stałby się wkrótce „wychowawcą" w rodzaju krakowskiego „Detektywa".

Otóż w „Czarnej Perle" wartość etyczna poczynań jej bohatera, młodego i zamożnego przemysłowca (Bodo), naświetlona jest zgoła dwuznacznie. Już pierwszy złodziej pereł, składanych w ofierze bóstwu losu przez poławiaczy pereł na Tahiti, ginie (od ukąszenia węża). Temu, kto zagarnął te perły następnie (Bodo), znającemu ich pochodzenie doskonale, nic się jednak nie dzieje, chociaż jest współwinnym kradzieży. Mało tego: dzięki nim (perłom) dorabia się fortuny. Ginie następnie (w katastrofie samochodowej) w Warszawie cała szajka rabusiów, która skradła te perły przemysłowcowi (znowu kara), tylko on sam żyje sobie niezgorzej, chociaż również maczał paluszki w tej niezbyt czystej sprawie.

Tak, tak... pewne zagadnienia dla naszych filmowców wciąż jeszcze są dżunglą, w której ani rusz nie mogą się zorjentować.

EUROPA: „Amok", film francuski.

Rzecz oparta na noweli Zweiga, reżyserji Fedora Ozepa, reżysera, posiadającego wielkie wyczucie walorów plastycznych filmu. To też i ten jego utwór wykazuje wysoki poziom artystyczny. Nietylko każdorazowa treść wizualna ekranu jest znakomicie zakomponowana na jego prostokącie i nieraz przypomina piękne dzieło malarskie (np. zdjęcia z łodziami) ale i dawkowanie poszczególnych scen, precyzyjnie odmierzone, łączy je trafnym montażem, w najbardziej wyrazistą, pozbawioną zbędnych, nic nie mówiących szczegółów, całość. Film jest, jak dobre dzieło sztuki, z którego nie można usunąć żadnego z członów, bez obawy naruszenia całości. Do pełni wrażenia przyczynia się również ilustracja muzyczna, dobrze zrośnięta z filmem, uwydatniająca, trafnie dobraną melodją nastrój każdej sceny, sens każdego zdarzenia.

Przy takim poziomie artystycznym filmu, jego treść, mimo wszystko, wydaje nam się dość błaha. Do cierpień i perypetyj bohaterów tej opowieści odnosimy się z pewną rezerwą. „Amok", to znaczy pewien rodzaj ataków szaleństwa, spowodowany niezdrowemi warunkami klimatycznemi, duszną atmosferą malajską tłumaczy wiele, ale ostatecznie nie wszystko. Rezultatem tych warunków (i samotności) jest stan psychiczny doktora Holka (znakomicie zagranego przez Yonnela), chwilami niemal obłąkanego; współczujemy mu, a raczej rozumiemy go, chociaż, trzeba przyznać, bliższe nam byłyby cierpienia, wynikłe z przyczyn bardziej zwykłych i ogólno-ludzkich. A już daleko mniej obchodzą nas przeżycia niebardzo młodej pani, mężatki, która, z nudów zapewne, ucięła sobie romansik z pewnym młokosem i... ponosi konsekwencje tego kroku (ta rola zagrana jest także znakomicie przez Marcelle Chantal).

Ozdobą filmu jest, doskonale weń wmontowany, święty taniec, wykonany przez parę prawdziwych, malajskich tancerzy. Przeczuwamy, iż symbolika gestów ich cudownie giętkich dłoni daleko, jest od powierzchownego estetyzowania ruchu.

KANDYD

NOWE KSIĄŻKI

Ludkiewicz Zdzisław. Odrodzenie gospodarcze Polski. Warsz. 1934. Księg. Rolnicza. S. 45.

Samsonowicz J. Objaśnienie arkusza „Opatów" ogólnej mapy geologicznej Polski. S. 117, 3 tabl. i mapa.

Bernadzikiewicz Tadeusz. Nowe prawo o bilansach. Warsz. 1934. Tow. Wyd. Mł. Prawników. S. 46.

Władysław L. Evert. Demokracja na wirażu. Warsz. 1934. „Dziś i Jutro". S. 52.

Wistnik. (mies. liter. naukowo-społ.) Lwów, listopad.

Cywiński Stanisław. O wspólny pomnik Mickiewicza i Słowackiego w Wilnie. Odbitka z „Dzien. Wileńskiego". Wilno 1934. S. 12.

Hrabyk Klaudjusz. Nowe drogi w polityce narodowej. Lwów 1934. Księg. Polska Połonieckiego. S. 109.

Kurek Jul. Grypa szaleje w Naprawie. Powieść. Warsz. Gebethner i Wolff.

Kormendi Franciszek. 715, via Bodenbach. Warsz. Gebethner i Wolff.

Gąsiorowski Wacław. Ach, te chamy w Ameryce. Warsz. 1934. Dom Książki Polskiej.

Hawks Ellison. Dziwy przyrody. 238 rys oraz 48 tablic. Przełożył dr. F. Rutkowski. Warsz. 1934. Dom Książki Polskiej.

Rogala Jan. Wielka maskarada. Powieść. Warsz. 1934. Trzaska, Ewert i Michalski.

Lermontow Michał. Pieśń o carze Iwanie i śmiałym kupcu Kałasznikowie. Przełożył Wł. Słobodnik. Warsz. 1934. Gebethner i Wolff. (Z drzeworytami).

Papini Giovanni. Skończony człowiek. Przełożył i przedmową poprzedził Edward Boyé. Warsz. 1934. Płomień.

Wilarski Jan. Biały król Gonawy. Dzieje Polaka wśród murzynów Haiti. Księg. św. Wojciecha,

Reuttówna Marja. Maryjka. Poznań. Tamże.

Szczepkowski Jan. Synowie buntu. Poznań. Księg. św. Wojciecha.

Mezger Maks. Jan. Monika jedzie na Madagaskar. Powieść dla młodzieży. Tamże.

Leighton Robert. Kiddi, dziecię obozu. Powieść dla młodzieży. Wyd. II. Tamże.

Kossak-Szczucka Zofja. S.O.S. Poznań. Księg. św. Wojciecha.

Teslar Józef A. Metamorfozy. (Poezje). Warszawa. Skład u Geb. i Wolffa.

East Carelia. *A survey of the Country and its Population and a Review of the Carelian Question. Publishers Academic Carelian — League.* Helsinki. 1934, str. 216. Z ilustr. i mapą.

Przegląd Współczesny. Listopad.

Gąsiorowski Wacław. Fajka Batorego. Warsz. 1934. Dom Książki Polskiej.

Gąsiorowski Wacław. Anarchiści. Wyd. III. Warsz. 1934. Dom Książki Polskiej.

Natanson Władysław. Widnokrąg nauki. Warsz. 1934. Książnica Atlas. Str. 291.

Passendorfer E. dr. Jak powstały Tatry. Z 40 ryc. Warsz. 1934. Książnica Atlas. Str. 116.

NA MARGINESIE

Pan senator sanacyjny, Wojciech Rostworowski, w kuluarach sejmowych usiłował w rozmowie towarzyskiej bronić projekt konstytucji, którego jest usłużnym referentem. Ktoś dowcipny, pod wrażeniem świeżo przeczytanych „Szczenięcych lat" M. Wańkowicza, przerwał mu:

— Wie pan, jak się przyrządza głuszca? Trzeba go powiesić w spiżarni za lotki, niech wisi, dopokąd tak nie skruszeje, że lotki same z mięsa się wysuną i głuszec padnie na ziemię.

— No i co?

— Potem trzeba głuszca owinąć kawałkiem płótna — czysto lnianego—uważa hrabia—i zakopać głęboko w ziemię.

— Dlatego żeby skruszał?

— Nie, dlatego, że bardzo śmierdzi.

*

Głośny żyd angielski, Rufus Isaacs (Reading), zapytany raz, czy żydzi potrafiliby rządzić własnem państwem, odpowiedział: „Nietylko własnem, ale i cudzem".

Warszawski syjonistyczny „Nasz Przegląd" (nr. 364 z dn. 27 b. m.) oświadczenie to powtarza z entuzjastycznym zachwytem: Widzicie, czegóż niepokoicie się, niemądrzy Polacy?

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM